Nr. 16. Rok I.



TYGODNIK WIELKOPOLSKI

NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 15 Kwietnia 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Stanisław August w Kaniowie.

Urywek z historji polskiéj

J. I. Kraszewskiego.

Niewiem dla czego myśl, ilekroć zatonie w tych przepaściach niedoli, któremi los, opatrzność, przeznaczenie, konieczność niezbłagana czy własne błędy napoiły nas, jako nigdy może naród nie napił się z tego kielicha; — nurtując do głębin tego piekła, staje zawsze na skraju panowania Sasów, na momencie, gdy tron pięknemu i miłemu panu, ulubieńcowi alkowy swéj, wspaniale dać raczyła Semiramis północy.

Czujemy, że za tym progiem leżą we mgłach chaosu pierwsze nierozwikłane, niedobadane jak wszelkie złe i dobre pierwiastki, przyczyny upadku i klęsk późniejszych. Od téj chwili gdy w hiszpańskim toku piękny Staś, wśród oklasków oszalałych piękności stolicy koronuje się na monarchę Sarmatów — staje wszystko w wyraźnych, jasnych barwach: ognista rzeka co pochłonąć ma najszlachetniejszy naród, przedmurze chrześciaństwa — wypływa na wierzch z podziemnych czeluści, widziemy jak się toczy, jak trawi, jak pożera, i jak ów lud którego dom ma wywrócić, ochoczo wyprawia tany przedśmiertne.

O Boże, jakże to straszne, ale jak cudownie wielkie i piękne! — Bądź co bądź, nieopatrzni jak dzieci, zepsuci zetknięciem ze światem nie naszego ducha i obyczaju — powiem żeśmy dziwnie wielcy i w téj nawet chwili upadku! Potężna wiara w Boga góruje nad tą nieopatrznością dziecinną, pogarda ludzi i środków zwyczajnych. Spodziewanie cudu... Prawda, że odwrót tego medalu przedstawia smutne plamy zepsucia, ale ileż to narodów przeszło przez te choroby, przez cięższe daleko i przeżyło je szczęśliwie... Myśmy na nieszczęście zawadzali na drodze zdobyczy chciwych sąsiadów i wyrok śmierci wykonał się powolnie, nielitościwie, mimo oburzenia całego milczącego i przyglądającego się katowstwu świata! Znaleziono winy, bo potrzeba było abyśmy wyglądali jak winowajcy, żeby zabójstwo miało pozór sprawiedliwości.

W dziejach Polski nietkniętych jeszcze ręką dziejopisarza natchnionego, opowiadanych bez namaszczenia, choć często z benedyktyńską pracą, niema epoki jaskrawszéj, dziwniejszéj, gorecéj odmalowanéj dłonią Bożą, nad tę epokę Stanisławowską. — Co za ludzie! jakie charaktery wśród téj ruiny, co za bohaterowie, począwszy od Baru aż do konwulsji sejmu Grodzieńskiego... ilu karłów ułomnych, ale iluż obok olbrzymów! Każda z tych postaci które nam sztuka i dzieje tak przeróżnie malują, zmienia się w tym ogniu wypadków do niepoznania. Sam król, jakże niepodobny do siebie na sali w dniu trzecim maja płaczący u przysięgi na ustawę nową i milcząco podpisujący z uśmiechem akt konfederacji Targowickiéj; — z kolei patrjota gorący, Sybaryta obojętny, przyjaciel rewolucjonistów i serdeczny druh wszystkich z kolei ambasadorów likwidujących jego nieustanne długi! — Nie zna go, kto w nim jednolitego tylko z końca w koniec panowania widzi człowieka; — zmieniało się wkoło wszystko, a on rychléj nad wszystko się zmieniał. — Toć właśnie nieszczęście, że ledwie kilku mamy bohaterów żelaznych, którzy ani zardzewieli, ani się zbyt wypolerować nie dali; zmienne oblicze tego tłumu Stanisławowskiéj epoki stanowi symptom jéj słabości — kochają heroizmy, ale po wybuchu następuje otrętwienie. —

Czasy to zaprawdę smutne ale najciekawsze dla

badacza, który do ich poznania przystępuje nie z gotową formułką wymarzoną zawcześnie, ale z jasném pojęciem i pokorą człowieka co się uczyć pragnie i zdobytem światłem dzielić, który nie przychodzi bezwzględnie potępiać, ani gwałtownie pragnąc oczyszczać ale aby ludzi ocenił po ludzku, jako istoty ułomne, którym dane są i wielkie chwile wyniesienia się duchem i straszliwe upadki. W iluż to bohaterach są bardzo pospolite istoty, a w wielu najpospolitszych istotach, niepoznani bohaterowie... Każdemu może dano raz w życiu zajaśnieć wielkim blaskiem, niewielu może jasnemi wytrwać przez cały ciąg swego bytu.

Król Stanisław należy właśnie do tego rodzaju ludzi, których sądzić przymierzając do jednéj idei w ciągu życia jego i panowania, niepodobna, jest to postać mieniąca się nie kameleonowską wolą, ale miękkością i giętkością nieszczęściami nawet nie zahartowaną.

W godzinie która wymagała dla kraju bohatera, los nam narzucił wielce przyjemnego, ukształconego, dobrego ale nieslychanie słabego człowieka, którego rodzina porównywała często z Henrykiem IV, chociaż między temi dwiema postaciami niema najmniejszego podobieństwa. Starał się on całe życie o jedno tylko, aby być miłym dla wszystkich, aby się podobać; ta kokieterja w najjaśniejszym panu, uśmiechającym się równie do żebraka, jak do odwiedzającego bez ceremonji w Korsuniu spadkobiercy Cezarów, musiała ciągnąć za sobą nieuchronnie ustępstwa, uleganie, cechowała się brakiem wszelkiego oporu. Król zdobywał serca słodyczą, ale ich zwyciężyć siłą nie umiał, uśmiechał się zbrodniom politycznym równie jak heroizmom... Czas wymagał przerzucenia się na kraniec, poślubienia idei wyłącznéj, jednéj, upartéj, on nieprzejednane chciał zgodzić, nieprzebłagane jednoczyć i okiem wyżytego Sybaryty domadlał się pokoju i ciszy, kiedy walka była obowiązkiem i potrzebą. Wśród znużenia się rolą miłego króla niestósowną do pory i sceny, przychodziły chwile przelotne energji, ale trwały tyle tylko by samego Stanisława przekonały, że do czynu nie był stworzony. Jak wielu sceptyków ukształconych pojmował on doskonale co czynić było potrzeba, ale do działania siły nie miał; w słowach był sędzią jasno widzącym, ale dłoń drżała gdy ją do pióra przykładał. — Sam w sobie nie czując energji dostatecznéj aby przetworzyć złe otaczające, oczekiwał dobrego od drugich, spodziewał się go od okoliczności zewnętrznych; rachował na grzeczność Prusaków, na miłość Katarzyny, na sprawiedliwość Józefa, trochę na Pana Boga, a wiele na swój uśmiech i niewyczerpaną zalotność. — Tam gdzie ledwieby starczył Batory z Zamojskim, Pan Bóg dał miłego Stasia i zacnych patrjotów, ale z piórami za uchem zamiast szabli u pasa. —

Orężem tylko i zbroją mogliśmy się utrzymać wśród niewygodnych sąsiadów, to też gdy szable w kąt poszły i Sarmaci zmienili się w Francuzów północy, zgnieciono nas uwiodłszy uściskami. — Król Stanisław August w sobie jest może najpełniejszym typem epoki przetwarzania i dla tego nieustannie oczy się nań zwracają mimowolnie. — Ad exemplum Regis urabia się powoli społeczność na literatów, na artystów, na mężów stanu i dyplomatów pudrowanych, a żołnierz, rycerz, zakonnik krzyżowy, zapaśnik za wiarę ginie wyśmiany i cofa się zawstydzony z piętnem barbarzyństwa...

Do niedołężnych usiłowań króla który w sercu najlepiéj życzył krajowi, ale ratować go nieumiał, należy ta wyprawa do Kaniowa, która na chwilę po widzeniu się z Katarzyną i Józefem, serce jego najlepszą natchnęła otuchą i kazała mu wróżyć dla Polski najpiękniejszą przyszłość. Król Stanisław był pewien że uśmiechem którym zdobywał serca najtwardszych piękności, potrafi rozbroić dawną kochankę i młodego filozofa, że tak grzecznego, pięknego, przyzwoitego króla, mającego postać tak pańską, wyraz tak słodki w ustach, świat stracić nie będzie miał serca, a narodu, który on reprezentował tak wspaniale, w sztuki rozszarpać się nie ośmielą.

Jechał tęskny nieco, powracał szczęśliwy, pół słówkami dając do zrozumienia wszystkim, że lepsze dni dla ojczyzny zaświecą... wierzył w pogodę bo jéj pragnął. - Otaczająca go rodzina nie tyle nad ojczyzny losem, ile nad zmartwieniami tak dobrego króla ubolewali... nie tyle pragnęli szczęścia ile poręki w pokoju i spoczynku błogiego, dla żywego obrazu Henryka IV. — Tym czasem bawiono go, wiązano cyfry, pokazywano mu obrazy, tańcowano balety, wynajdowano miłe przechadzki, aby mógł zapomnieć o tém o czém był powinien dniem i nocą pamiętać. Sprzedawano jego wielkość za chwilowy spokój... I tak pour ne pas chagriner l'aimable, le bon, l'incomparable Henri IV.; zasłaniano przed nim niebezpieczeństwa, zarzucano kwiatami przepaście aż w nią uśmiechając się w paść musiał. Naostatku ulubieńca Katarzyny, poseł jéj Sievers przyjmował w szlafroku... płacąc po troszę jego długi, i zawieziono go do Petersburga, aby mógł użyć tego wczasu którego tak mocno pragnął. Tu oglądając pałace i lubując się obrazami, dobry król, zmarł bez zgryzot sumienia, narzekając tylko na to, że mu życie nie dało spokoju.

Nie przewidywano wszakże jeszcze w r. 1787 jak daleko dobroć i powolność Stanisława zaprowadzić miały; bawiono się w najlepsze a król w słodkich nadziejach podbicia na nowo serca Cesarzowéj Katarzyny i Hrabiego Falkensteina, wybrał się do Kaniowa. Wszystko się zdawało uśmiechać owemu Henrykowi IV. którego podróż była pasmem uczt, biesiad, widowisk i uroczystych pochlebstw przerywanych straszliwemi snieżnicami i zawiejami tylko... Niebo ostrzegało że fałszywą puszczał się drogą, ale przestrogom niebios wiek XVIII nie wierzył. Wszędzie zresztą gdzie król wysiadł znajdował kwiaty i wiosnę, uśmiechy, światła i atmosferę wonną która o zamieciach i chłodzie zapominać dozwalała.. Łudził się on sam, łudzili drudzy niechcąc uwierzyć w groźby losu, a na dobrowolną ślepotę niema lekarstwa.

W Kaniowie przyszło królowi Jegomości oczekiwać dosyć długo na ocieplenie powietrza i na flotyllę Cesarzowéj, ale czas tu spędzony ożywiali goście z okolicy i odwiedziny z Kijowa dygnitarzy moskiewskich, a dwór królewski wynajdywał mu rozrywki rozmaite. Czytywano, król grywał w billard, robił konno przejażdżki, odbywał samotne przechadzki po okolicach, miał towarzystwo wesołe, zresztą marzył może o téj którą kochał przed laty dwudziestu, teraz znowu miał zobaczyć nie już panią serca swego, ale władczynią swojego losu.

Pani Mniszchowa siostrzenica króla, jéj mąż, książęta de Ligne, kilku anglików, kilku francuzów, mnóstwo wszelkiéj próby polaków; ożywiali tę pustynię Kaniowską, wśród któréj cudotworca Kubicki wystawił w przeciągu kilku miesięcy kilka porządnych domów dla króla JM. i jego dworu.

Kaniów smutna mieścina przed niedawnym jeszcze czasem, teraz wyglądał na improwizowaną stolicę, wszystkie trakty doń wiodące pełne były powozów, na każdéj stacji pocztowéj szczególnie od Kijowa spotykały się kawalkaty Moskali i Polaków rozpromienionych, świeżemi gwiazdami okrytych i pełnych wzajemnéj serdeczności. Uwielbienie dla Cesarzowéj Katarzyny zlewało się na wszystkich co ją otaczali, na Xcia Potemkina zdobywcę Taurydy, którego uczonym i niezrównanie grzecznym głosił X. Naruszewicz, którego wielbiono nawet za to że raczył nabyciem dóbr zostać obywatelem

polskim — na p. Mamonowa, Czernyszewa i całe otoczenie Imperatorowéj. — Wszystko to byli ludzie zachwycający, umysły wyższe, serca złote, a nadewszystko dowcipy niezrównane. Smakowano to w Xięciu de Ligne i jego konceptach, w opowiadaniach p. Dillon podróżnika, w uczoności X. Naruszewicza, który się przypatrywał z wielką sympatyą obrządkom Cerkwi Wschodniéj w Ławrze i protegował mnicha Drofana... w słodyczy charakteru króla Imci, we wdziękach i dowcipie pani Mniszchowéj mar. koronnéj.

Dwór Cesarzowéj wzbudzał w gościach polskich też same uczucia które rodził w Voltairze, znajdowano go nad wyraz wszelki przyjemnym, ogładę powierzchowną biorąc za objaw uczuć wewnętrznych, wierzono w to że Cesarzowa Imci i panowie tak cywilizowani nic złego zamierzać, ani komu bądź złego życzyć nie mogli. — Nie dorozumiewano się wcale że pod tą kwiecistą powłoką, kryła się polityka niezbłagana, któréj jedném z narzędzi było właśnie uśpienie przeciwników okazując się lekkomyślną. Miłość dla ludzi, nie przeszkadzała sprawie zdobywczéj która nie szczędziła ofiar na swéj drodze i poświęcała serdecznych przyjaciół raz obranemu celowi. Pomimo smutnych dosyć doświadczeń sam król łudził się może więcéj nad innych, ufając że osobistym swym wpływem potrafi odwrócić grożące krajowi niebezpieczeństwo; inni zwolennicy dworu Petersburgskiego wierzyli także w jego zupełną bezinteresowność. Cesarzowa obdarzała chętnie, wstęgami, tabakierami, krzyżami, nawet pensyami, bo jedną taką otrzymał X. Naruszkiewicz pod pozorem ułatwienia mu poszukiwań historycznych; — ale na włos jeden polityka jéj nie cofnęła się z raz wytkniętéj drogi. Przyjaciele i słudzy użyci byli jako narzędzia... jeśli się zdali na co więcéj prócz zabawki.

Król Stanisław przekonany był że jadąc do Kaniowa po order Św. Andrzeja, spełnia ważną dla kraju usługę, że odprowadzając do oficyn X. Potemkina i traktując go jak przyjaciela, jedna sobie spokój długi i opiekę, że paląc fajerwerk na cześć Katarzyny, broni ojczyzny od pożogi.

W tych myślach przybył on po najokropniejszych drogach, przyjmowany z zapałem przez obywateli, na pobyt w Kaniowie, gdzie miał oczekiwać na ukazanie się flotylli Cesarzowéj, i chwilę z nią przebyć na gościnnym statku wiozący ją ku Taurydzie.

Ale nim ta szczęśliwa a od tak dawna oczekiwana chwila nadeszła, król Im. w zimny czas wiosenny musiał osamotniony przy klawikordzie na którym mu grała p. Mniszchowa, z kilką xiążkami, z kilka przyjaciołmi przebywać dni długie, tęskne i nudne. Nie zawsze nawet konno lub pieszo w okolice udała się przejażdżka, nie zawsze mógł X. Opat Iżykiewicz zabawić examinami uczniów, nie zawsze pożar w kramach przerwał jednostajnie dni tego wyczekiwania, i były dnie kwietniowych śnieżnic i zimnych deszczów, które króla mimo troskliwych zabiegów dworu zabawiały przeciągłem ziewaniem. Potém jak piorun spadały wizyty z Kijowa, obywatele ukraińscy, na chwilę zawrzało, zagotowało się, a na wodach Dnieprowych nie ukazywały się bandery Flotylli która króla uszczęśliwić miała...latały tylko między Kijowem a Kaniowem listy, posłania i tęskne może westchnienia wydobyte z piersi Stanisława przy długiem już oczekiwaniu.

Nareszcie lody puściły, powietrze zwolna ocieplać się zaczynało, zieloność wytryskała z łona ziemi... król Stanisław widocznie marzył tylko rychło li mu oznajmią o zbliżeniu się łodzi które niosły jego nadzieje.

Ale z wodami Dniepru płynęły tylko wiosenne szumowiny porwane z brzegów sitowia, i niekiedy rybackie po nich prześliznęło się czółenko.

Na owo wielkie szczęście długo też oczekiwać było potrzeba... korzystając z wiosennego ciepła król się często bez eskorty bez sług i straży, przechadzał marząc o Arun-al Reszydzie i o Henryku IV. Henryka IV znano naówczas jako ideał dobroduszności w monarsze, tak jak go malowały historye i dramata będące w obiegu. Stanisław August niby się przypatrywał zbliska swojemu państwu, badał wieśniaków, i dzieciakom rozdawał błyszczące dukaty, a piękne dziewice ukraińskie z przyjemnością gładził pod brodą.

Na górze nad Dnieprem którą obrano do illuminacyi i sztucznych ogniów mających się spalić na cześć Cesarzowéj Imci, architekt Kubicki wystawił był ogromną piramidę z drzewa przeznaczoną do oświetlenia.. Roboty około niéj były skończone, a że aż do wierzchołka wiodły drabiny, wielu ciekawych wdrapywało się niemi do góry, aby się rozległym widokiem nad Dnieprowéj okolicy nacieszyć. Król któremu wiek i powaga nie dopuszczały leść tak wysoko, wchodził po ścieżce ślimakowo wykopanéj na wzgórze i lubił ztąd także przypatrywać się krajobrazowi, choć jeszcze z wiosennych wdzięków ogołoconemu. Czasami siadał na ławce i zamyślał się głęboko... Ta góra i ruina staréj murowanéj Cerkwi stojącéj pustkami od XII wieku ale doskonale jeszcze zachowanéj, zwykłemi były przechadzek jego celami......

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

To go przejęło dziwnem uczuciem przestrachu i trwogi, uczuciem zupełnie podobnem do tego, jakiem w téj chwili przejętą była osoba, któréj samo imię w nim je obudziło.

— A!... Iza!... jedna z nich Iza!... — pomyślał — otom się wplątał w kabałę!...

Myślał tak jakby wiedział, że już nie raz i nie dziesięć razy, w samotnym pokoiku panny Izy figurował jako król kierowy w kabale...

Bądź co bądź, choć mu taki klin wlazł w głowę, był sam na sam z jedną z panien Rękalskich, która milczała uparcie, wyraźnie jemu pozostawiając zawiązanie rozmowy. Nie podobna było milczeć.

— Eh! przysłyszało mi się, — rzekł sobie w duchu, — najlepiéj będzie jak sprawdzę odrazu... Tak myśląc zagadnął pannę Izę:

— Siostra pani wychodząc wymówiła pani imię... nieprawdaż?...

Panna Iza zwykle bardzo wymowna, tym razem jednak tak była wzruszoną, że zdobyła się tylko na kilkosylabowe potwierdzenie:

— W istocie, panie.

— O! do djabła! — pomyślał Pilski, — nie przysłyszało mi się chyba.

I niechcąc dłużéj w niepewności pozostawać, rzekł:

— Więc pani imię... Iza...bella?...

Wymawiał to z naturalnym bardzo w jego położeniu niepokojem. Głos jego zdawał się drżéć.

Panna Iza wytłomaczyła to sobie że sąsiad jest wzruszony, że o éj imię pyta, bo do deklaracji zmierza, że wie jak jéj na imię doskonale, ale tylko umyślnie tak kieruje rozmowę, żeby jéj powiedzieć, że jest „bella"... Tysiąc myśli tłoczyło się do jéj biednéj główki, myśli zatrważających, choć przyjemnych...

— Izydora... — szepnęła.

Było to potwierdzeniem najbardziéj stanowczem, że ona nie kto inny jest ową tajemniczą panną Izą. Pilski się zmieszał.

— Zkąd jéj się u licha przywidziało, — myślał w duchu, że ja jestem jéj narzeczonym?... Potrzeba jéj to wybić z głowy...

Zaczął mówić... ale jak tu doprawdy coś podobnego powiedzieć?... Plątały się mu słowa w myśli, wybiegały z ust niedopowiedziane wyrazy, sylaby niezrozumiałe, które równie dobrze a może lepiéj jeszcze służyć mogły za wstęp do słów wcale innego znaczenia...

Panna Iza spojrzała nań strwożona. Przyczynę pomięszania odgadła natychmiast i zrozumiała po swojemu.

— Chce mi wyznać miłość... już... teraz... — pomyślała.

— Na to wyznanie była przygotowaną od dawna, zdawało jéj się, że ją ono nie zdziwi, że je przetrwa i wytrzyma. Zawiodła się. Przychodziło ono zbyt prędko i sił biedaczce zabrakło.

Spłoszona jak drobna ptaszyna, zerwała się z krzesełka i w jednéj chwili znalazła się przy drzwiach...

We drzwiach stanęła i obejrzała się nieznacznie.

Pilski patrzył za nią okiem zdziwionem, nierozumiejącem nic. Ona co innego we wzroku jego czytała. Nie poruszał się jednak, to ją zaczęło niecierpliwić cokolwiek, a przynajmniéj dało jéj czas ochłonąć nieco...

— Czegoż uciekam?... — rzekła do siebie, — raz tego przecież w życiu wysłuchać trzeba... zostanę.

Trudno jednak było wrócić i usiąść na krzesełku nie upozorowawszy czemkolwiek tego powrotu, — nim więc odeszła od progu, zwróciła się w stronę Pilskiego i składając ręce jak do modlitwy, z oczyma przemienionemi w błaganie, tonem namiętnéj prośby, rzekła:

— Panie Józefie... zaklinam pana .. ani słowa o tem dzisiéj!...

— Owszem pani, — odrzekł Pilski zdumiony i nierozumiejący o co chodzi.

Spokojniéj nieco podeszła panna Iza do krzesełka, nim jednak na niem usiadła, wydało jéj się, że zakaz jéj był za rozległy, dodała więc jeszcze:

— Ani słowa w téj chwili, błagam pana... kiedyindziéj... późniéj... może...

— Owszem pani... zastosuję się do rozkazu, — powtórzył Pilski.

Panna Iza usiadła na krzesełku, a on w myśli zrobił sobie uwagę:

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli wiem, czemu ona chciała uciekać i o co mnie teraz błaga... chyba o to, żebym z nią nie mówił o jéj imieniu... ha! dobrze!... Ale w każdym razie dziwna kobieta!... ciekawym na co chora, według teorji Tuckiego.

Myśląc tak, milczał naturalnie, a ciągle był i wydawać się musiał zmieszanym. Były to dobre znaki dla panny Izy, czuła się szczęśliwą nad wyraz, szczęśliwszą niż kiedykolwiek była w życiu i jeszcze być się spodziewała. Żałowała trochę, że się przelękła i przeszkodziła wyznaniu, mówiła sobie jednak, że się to odwlekło na niedługo, i przysięgała sobie, że się już nie zlęknie drugi raz.

Po długiéj chwili dopiero przypomniała sobie, że jéj obowiązkiem jest bawić tak drogiego sercu gościa. Wyrzucając więc sobie, że tego obowiązku zaniedbała, skutkiem wzruszenia, zaczęła pogadankę o najulubieńszym sobie przedmiocie:

— Wszak pan lubi kwiatki?...

— Lubię pani, — odrzekł Pilski, nie bardzo myśląc co mówi, i gotów w téj chwili odpowiedzieć w równie lakoniczny i zbywający sposób na wszystkie pytania panny Izy.

— O! bo ja przepadam za kwiatkami, — odrzekła dziewica, spuszczając oczy, bo ją widok pomieszania Pilskiego o ciągłe przyprawiał rumieńce.

Tak zacząwszy odzyskała wymowę, i choć nie śmiała wyraźnie podnieść oczu na sąsiada, przecież prawiła długo i wymownie o swojém zamiłowaniu do kwiatków.

Niedługo potém powróciły siostry, którym się zdawało, że nie wypada pozostawiać młodych zbyt długo samotnie, rozmowa stała się ogólną, wkrótce zaś Pilski uznając że już i tak za bardzo przeciągnął wizytę, pożegnał swoje gospodynie.

Panny pozostały same.

— I cóż?... i cóż?... — pytały panny Izy starsze siostry jedna przez drugą...

— Wystawcie sobie... to okropnie namiętny człowiek... szaleje za mną — odpowiedziała panna Iza.

— Opowiedz-że nam jak to było?...

— Kiedym taka wzruszona...

— No, choć w dwóch słowach... choć w jednym wyrazie...

— Wystawcie sobie... zaczął mi się oświadczać, ledwie się drzwi za Leosią zamknęły...

— A ty?... a ty?...

— A ja... wystawcie sobie... uciekłam...

— Co? co?... — zawołały obie siostry na wyścigi z niedowierzaniem i zgrozą, — jakżeś ty mogła zrobić takie głupstwo, Iziu?...

— Ba! ja sama wiem, że to głupstwo... ale... Bo wy sobie nie wystawicie jak mi się zrobiło dziwnie w duszy... chciałam zostać... ale to było silniejsze nademnie...

— Iziu! Iziu!... gubisz się!...

— Ja wiem, że mnie ta trwożliwość panieńska zgubi... ale przecież on na tém nie poprzestanie. — Oświadczy się drugi raz... pojutrze... jutro...

— Tak!... a ty drugi raz uciekniesz...

— Ach! doprawdy boję się... jeżeli mnie to tak samo przejmie jak dzisiaj, tom doprawdy i drugi raz uciec gotowa.

Siostry załamały ręce.

— I co tu począć z tą dziewczyną?... — rzekła panna Teodora do panny Eleonory, — lęka się tego, na co przecież my wszystkie kobiety jesteśmy... skazane!...

— Co z nią robić?... ja nie wiem, — odpowiedziała panna Eleonora, — na drugi raz, to już chyba... musiemy ją przyszyć do krzesełka.

VI.

Wiele z czytelniczek niespodziewanie znajduje w téj historji coś ciekawego o sobie.

— Gdyby to było gdzieś na parafji, — mówił do siebie Józef Pilski, wychodząc od panien Rękalskich, — tobym się temu nie dziwił bynajmniéj, ale w wielkiém mieście!... w Krakowie!...

Bohater nasz był w wielkim błędzie.

Brał on Kraków za wielkie miasto, i w tym względzie mylił się, jak ci wszyscy, którzy się świata uczą z jeografji i statystyki, a liczbę mieszkańców biorą za barometr służący do mierzenia wielkości grodów. Liczba mieszkańców jednak jest tutaj najniewłaściwszą miarą. Wszakże bywają parafje liczące po kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, dla czegóż miasto liczące podobną ludność nie mogłoby być taką parafją?...

Kraków był wielkiém miastem niegdyś, świadczy o tém historja i historja jest właśnie powodem pomyłki tych, którzy sądzą, że jest niém do dzisiaj. Gdyby się jednak ci którzy tak sądzą rozczytali bliżéj w téj saméj historji, dowiedzieliby się, że owa niegdyś stolica Polski, któréj kasztelan tak znakomite miejsce przed wojewodami zajmował, spadła następnie na małe miasteczko, o kilku tysiącach ludności; że późniéj zwiększać się w niéj zaczęła liczba mieszkańców, ale przyszła smutnéj pamięci rzeczpospolita, któréj opłakanych dziejów nikt z uczonych miasta, oddychającego historją i pamiątkami przeszłości, spisać się dotąd nie poważył, bo ich świadkowie naoczni żyją i wstydzą się jeszcze, i że skutkiem téj rzeczypospolitéj, czy téż innéj jakiéj przyczyny, cecha parafji, zaścianka, miasteczka, pozostała aż do dzisiejszéj chwili podwawelskiemu grodowi.

Piszemy powieść a nie historję, nikt więc od nas wymagać nie będzie, ażebyśmy z historycznemi dokumentami w ręku badali i wykazywali dla czego tak jest, nie inaczéj, — ale każdy ma prawo zażądać od nas dowodu, że tak jest właśnie, jak mówimy.

Żądanie słuszne, nie ma co mówić; a więc posłuchajcie państwo bajeczki.

W pewnéj, dalekiéj od cywilizowanego świata okolicy zamierzono dać bal w karnawale. Wyszukano sali największéj w miasteczku, wybielono ją, przyozdobiono zwierciadłami i kinkietami, na środku nawet zawieszono wielki żyrandol. Wymyto i wywoskowano posadzkę, ponapożyczano krzeseł, ustawiono je pod ścianami, wynajęto orkiestrę z óśmiu muzykantów złożoną i odgrodzono dla niéj miejsce; urządzono bufet i zaopatrzono go obficie w zimne i gorące potrawy, — rozesłano wreszcie karty zapraszające i odebrano ze wszech stron zapewnienia chętnego udziału w zabawie.

Panienkom i młodym mężatkom już z góry skakały serca w takt polek, walców, mazurów i kadryli, które miały być odtańczone na balu, a mamy i ciocie rozkoszowały się myślą, że może na tym balu która z ich córek czy siostrzenic wynajdzie nareszcie swojego....

Nakoniec przyszedł dzień oznaczony. Każda z pań i panienek miała już toaletę od dwóch dni gotową. Zaczęto się ubierać, ubrano się wreszcie, — a był już i czas wielki, bo początek zabawy zapowiedzianym był na dziesiątą, a już jedenasta wybiła.

Każda z pań drżała z niecierpliwości, aby wsiąć do swojego czy do pożyczanego powozu i pojechać i przy świetle kinkietów, przy olśniewającym blasku żyrandola, napawać się błogością tanecznego wiru i w fortyfikacyach serc męzkich granatami spojrzeń uroczych, robić wyłomy i szczerby.

Ale niestety każdą odstraszała myśl jedna:

— Ba! a nuż będę pierwszą... nuż jeszcze nikt nie przyjechał?...

Zniecierpliwione panie postanowiły się dowiedzieć czy już zabawa rozpoczęta? Każda tedy wydelegowała służącą, aby w garderobie damskiéj zobaczyła czy już dużo futer pozawieszano na kołkach.

Ponieważ wszystkie tak myślały, więc żadna pierwszą nie była, i służące jedna po drugiéj wracały do pań swoich i do panienek z wiadomością, że jeszcze nie ma nikogo.

Wysyłano je po raz drugi, powracały z tą samą wieścią, — wysłane po raz trzeci lepszéj nowiny przynieść nie mogły.

Cóż miały począć panie i panienki, gdy żadna pierwszą być nie chciała?...

Pozdejmowały atłasy i koronki, powiedziały dobranoc nadziejom walców, polek i kadryli, i poszły spać, a we śnie niby zmora dręczyła je natrętna myśl o męzkiéj młodzieży, która tam, w sali balowéj, przypatrywała się ziewając i wzdychając oświeconemu al giorno lokalowi, połyskującéj jak zwierciadło posadzce, i marzyła... marzyła... o czem?... oto o gęsiach, które zwykły chodzić jedna za drugą, a jak pierwsza nie pójdzie, to inne jakby chodzić wcale nie umiały...

Tylko, że między gęśmi każda chętnie jest pierwszą, a między paniami i między panienkami inaczéj...

Takie widowisko regularnie co roku powtarza się w Krakowie na balach i wieczorach resursy miejskiéj.

W żadnem większem mieście Europy, nie mówiąc już o Paryżu, Londynie, Wiedniu, Berlinie i tym podobnych stolicach, ale nawet w Lublinie lub Piotrkowie coś podobnego nie przytrafiło się nigdy. Zdarzało się to tylko niekiedy w Sochaczewie, w Kałuszynie, w Kiernozi; w Krakowie zaś jest peryodycznem i całkiem normalnem zjawiskiem...

I po tem jeszcze pan Józef Pilski, nieszczęśliwy bohater naszéj powieści, brał Kraków za wielkie miasto! A! naiwny, siedem razy naiwny człowiek, któremu tę naiwność dlatego wybaczyć się godzi, że mieszkał w podwawelskim grodzie dopiero od tygodnia niespełna...

Niech mu więc wybaczą łaskawe czytelniczki, a przy téj sposobności niech wybaczą i nam, żeśmy się poważyli opisać, dlaczego w pierwszą sobotę po Trzech Królach nie były na zabawie w resursie krakowskiéj, sądzimy bowiem, że niejednéj z tych które w bieżącym karnawale z żywą ochotą wytańczenia się, ubrane i gotowe zupełnie, oczekiwały na relacyę pokojówki czy już kto jest na zabawie, — wpadnie w ręce nasze opowiadanie, i albo uśmiech, albo miły grymasik niechęć na intencyę autora wywoła, na ich piękne usteczka...

Widzieliśmy na własne oczy posępne oblicza tych młodzieńców, którzy patrzyli z rozrzewnieniem na płonące darmo kinkiety i rozmyślali... o gęsiach — to niechaj gorycz naszą wytłomaczy.

Ale wracajmy do opowiadania.

Bohater nasz nie miał zatem najmniéjszéj wątpliwości, że niepojętym jakimś sposobem oskarzonym został o miłość dla panny Izydory Rękalskiéj, że temu oskarzeniu wierzyła cała Babia wyspa, a przedewszystkiem wierzyła sama panna Izydora. Ojciec jéj człowiek szanowany w mieście, obywatel, mąż uczony, także nic musiał nie mieć przeciw téj miłości, owszem uprzejmość jego, wizyta, zaprosiny całe postępowanie jednem słowem, najwymowniéj świadczyło, że pragnął nowemu lokatorowi ułatwić tę konkurencją.

Pilski robił jak najściśléjszy rachunek sumienia, pragnął zbadać jakim sposobem dał powód do tego rodzaju przypuszczeń, i na żaden sposób rozwiązać nie mógł téj zagadki. Pierwszego zawiązku téj intrygi, owéj mniemanéj pogoni za panną Izą, nie mógł sobie przypomnieć, bo w owym dniu tak był zajęty wyszukaniem sobie mieszkania, że wcale nawet nie uważał, że jakaś piękność przed nim postępuje i w tę samą stronę co on zmierzając, na chwilę przed nim do téj saméj kamienicy weszła. Nie mogąc ani przypomnieć sobie ani nawet wiedzieć o téj okoliczności musiał naturalnie wszystkiego co się z niéj wywiązało nie rozumieć.

Jedynem tłomaczeniem całego tego faktu został więc dlań wyraz tajemniczy: „Kabała.“ Domyślał się jakiegoś podstępnego planu, za pomocą którego chciano go oplątać w sieć, i zmusić do ożenienia się.

— Mnie zmusić do ożenienia się, — powtarzał, — a to byłoby oryginalne!... Żeby mieli trzy razy dowcipniéjsze głowy jak mają, to tego z pewnością nie dokażą. Przerachowali się... inny ptaszek mógłby się dać złapać, ale ja!...

Tu wybuchał śmiechem.

Czy ten śmiech był wyrazem zarozumiałości tylko, czy też pewności że plany najzręczniéjsze w skutek jakiejś ukrytéj przyczyny udać się nie mogę, niepodobna by nam było teraz zaraz tego objaśnić, przyszłość chyba tę zagadkę rozwiąże.

Bądź, co bądź, nasz bohater ufał sobie, że się nie da. Jeżeli myśl jego dłużéj, niżby przy takiem zaufaniu w sobie samym była powinna, zatrzymywała się przy tym dziwnym stosunku, nie było to dla tego, żeby się jego następstw obawiał, ale dla tego, że chciał zbadać jaki cel mieć mogą panny Rękalskie w takiéj taktyce, i że chciał dojść na czem w jego postępowaniu oprzeć zamierzają swoje pretensje.

Myśląc tak i rozważając wszystko, zaczął przypuszczać, że i inne dotychczas niezrozumiałe dla niego okoliczności musiały zostawać w związku z tą mniemaną miłością dla panny Izy.

— Niedarmo stary Rękalski zrobił mnie znakomitym archeologiem, — mówił do siebie, — i nie napróżno doktór Tucki wmawia we mnie żem chory na charakter... Wszyscy oni są w spisku przeciw mnie, wszystko to do jednego zmierza celu. Cała Babia wyspa sprzysięgła się na mnie, jestem sam jeden przeciw wszystkim.

Takie spostrzeżenia powinno go było przerazić. Widząc się w takiéj sieci pajęczéj powinien był zwątpić o swoich siłach, on jednak przeciwnie, im mocniéj wierzył w ukryty związek wszystkich niezrozumiałych machinacyi, jakie go otaczały, tem ochotniéj uśmiechał się w duszy i mówił sobie:

— A to się zwiodą!...

W jego mocy było teraz, odkąd wiedział, że panna Iza sądzi iż on ją kocha, położyć kres wszystkiemu wyprowadzając ją z błędu. Nie chciał tego jednak uczynić.

— Zaszli tak daleko, niech idą daléj, — myślał, — ubawię się przynajmniéj tą małomiasteczkową komedyą.

Ażeby się tem lepiéj ubawić potrzebował zrozumieć węzeł intrygi, i rozumiejąc wszystko działał tak jakby niewiedział o niczem. W ten sposób postępować postanowił.

Od czego jednak zacząć, ażeby uchwycić choć koniuszek téj nici i po niej dostać się aż do kłębka?...

Nie mając żadnego obowiązkowego zajęcia. Pilski miał dużo czasu do rozmyślania nad tem, nie mógł jednak do rozpoczęcia tego śledztwa wynaleść innego punktu wyjścia, jak wybadanie Kazi.

— Ta dziewczyna nie lubi nic trzymać w sekrecie, bylem tylko nie zamykał się przed nią, z saméj wdzięczności, że ją puszczam do siebie, powie mi wszystko.

Wstał, odsunął zasuwkę, a nawet drzwi nieco uchylił, i powróciwszy usiadł w krześle z książką w ręku.

Nie czekał długo. Główka Kazi po kwadransie ukazała się we drzwiach i dało się słyszeć zwykłe jéj zapytanie:

— Czy można?...

— Dlaczego nie?... proszę cię Kaziu... wejdź... pobaw się, moje dziecko...

Tak zwane dziecko wbiegło już oddawna, i byłoby wbiegło nawet bez zaproszenia, pytało się bowiem zwykle dla formy, a w razie zakazu wejścia, odpowiadało:

— Ja tylko na chwileczkę, na jedną chwileczkę... nie będę przeszkadzała... będę cicho...

— Pan to bardzo niegrzeczny, — rzekła Kazia, siadając na kanapce, blisko Pilskiego, — bardzo niegrzeczny...

— Czemuż moje dziecko?...

— Zamyka się pan przedemną... to nieładnie.

— Widzisz, moja Kaziu, jestem czasem w negliżu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

CHRZEST.

O! nie zawsze o nie wszędzie,
Młode orle tak ci będzie
Jako dzisiaj przy macierzy!
Pieśń o Ziemi naszéj.

I zapalono święcone gromnice,
I ksiądz odziany białą szatą stał,
Chrzestni, niemowlę, trzymali rodzice,
Ksiądz się przeżegnał i na głowę lał
Wodę — „chrzcę ciebie w imię Ojca, Syna!“
I nie płakała spokojna dziecina;
Cicho połknęła i mądrości sól,
I w oczach perly nie dojrzałeś łzawéj...
Tylko me serce rozdarł srogi ból,
I gdy szatańskie ksiądz wyklinał sprawy,
I jam z pokorą kolano me zgiął,
Cara szatana, duszę jego klął...
Bo w tém dziecięciu widziałem anioła:
Ducha swobody będzie z wiatrów pił,
Z ogorzałego, wyniosłego czoła,
Będzie mu świetny promień męstwa bił;
Tylko go wydrze car z ojców sioła,
Z Moskwą go zmiesza pogna na step,
Tam potem krwawym, łzą zleje chleb,
Ale hart męzkiéj duszy nie zmięknie,
Aż dusza z tęsknot za krajem pęknie!

O! ja kapłanie! gdybym tobą był,
Nie z wody, nie z oleju Polaka bym chrzcił!
Do ciężaru ażeby przysposobić barki,
Nie wody, nie oleju, księże! trzeba krwi!
A kto tyranów ma połamać karki,
Temu niech z dziecka w piersiach posłannictwo tkwi.
Bo Lech ma wydrzeć czartu z upodlenia czerń,
On dla niéj ukrzyżowan wstąpił do otchłani,
Dla wolności umęczon zmartwychwstanie dla niéj!
I z czoła zdejmie znoje i kolący cierń,
A Bóg — Wolność zawoła: „to mój wierny lud,
To lud mój ukochany!“ I powali cud
Czarty o ziemię, a czoła ich w prochu
Tarzać się będą — ale póty śmierć,
Lacha skrępowanego ma krzyżować w lochu,
Aż dzień trzeci przeminie; — a narodów dzień
Nie światło znaczy ani nocy cień,
Dniem ludów i stólecia ćwierć!
To niejedna upadnie pod toporem głowa,
Niejedną z pisklętami car zadławi macierz,
Niejeden kwiat pochłonie zamieć Sybirowa,
Zanim święte proroctwa wypełnią się słowa.
O! inny chrzest potrzebny, inny przy nim pacierz,
Pacierz coby poświęcał do boju, męczeństwa,
I na wieki w obliczu wyrył piętno męstwa.
O! jeśli o zbawienie syna twego dbasz,
To własną pierś mu jego sam rozranić każ!
Niech cię ojcze dziecięcia nie rozrzewnia płacz
Ty krwią jego na czole szubienicę znacz!
Bo na walkę z tyranem, bo z śmiercią na bój,
Na męczarnie krzyżowe syn przeznaczon twój!
Soli nie daj mu w usta, sól topliwa, krucha,
Męczennikom potrzeba żelaznego ducha!
A więc żelazem dotknij ust dziecięcia twego,
I zawołaj: Bądź twardy jako miecz Chrobrego!
A potém twe dziecinne sam przypomnij lata,
Starego ojca, matkę, lub grób co ich kości
Przysypał: gdy piastunna stanie w oczach chata,
Zroszonych łzami świętéj ojczyzny miłości,
Ciśnij syna do piersi, i to z piersi twéj,
Ogniste czucie w serce jego wléj!
Bo święta, wielka przepowiednia jest,
Odkupi światy — krwi z miłością chrzest!

16 listopada 1845 r. **Karol Brzozowski.**

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nic nie wspomnę o świętach Wielkanocnych. Umyślnie. Założyłbym się bowiem, że czytelnik znający się choć trochę na konstrukcyi kronik pewny będzie, że od świąt zacznę!... Tymczasem omyli się. Jest to maleńki figielek jakiego sobie na intencją prima aprilis pozwalam. Nie ja jeden zwodzę. Ot anioł pokoju, — był tylko przeodzianym szatanem zamętu a może i nowéj wojny; oto wiosna wywabiwszy pączki i ptaki, z pod maski groźną twarz zimy pokazała znowu, — z zapowiedzianych publicznym hałasem pism tylu, ledwo się „Orędownik,“ na światło pokazał! Same zawody! I należałoby się zmartwić, gdyby nie barometr zawieszony w pokoiku redakcyjnym, który się jakoś bardzo podnosić na humorystykę zaczyna. Metropolia djabelska, rezydująca w Krakowie, — snać przeludniona, myśli już o utworzeniu dla siebie kolonji. Ukazało się bowiem „Coś“ pismo mające być dopełnieniem dobrze zasłużonego „Djabła.“ W Poznaniu pocichu mówią o czemś podobnem — obawiamy się jednak, że nowe dziecko Wielkopolskiego humoru, będzie wyrodzonym potomkiem nieporownanego antenata swego — Wojtusia!...

* * *

W Warszawie dowcip przelewa się przez brzegi. wskrzeszona „Mucha“ napełnia powietrze stolicy — jak twierdzą, dosyć ostrym brzękiem — a „Kolce“ mają wielką ochotę wrazić się w nogi ludziom spokojnym. Słówko o tych ostatnich. — Wydają się nam one jak nabity pistolet, którym zarówno można bronić własności i dobra publicznego, jak i zabijać przechodniów z za krzaka. A nie bardzo ufałbym ręce, która broń tę trzyma. Imię redaktora ich p. Mieczysława Dzikowskiego, za nic nie ręczy a pierwsze numera o pół mili pachną paszkwilem. Zresztą na każdy jad jest anti dotum a Bóg radzi o swojej czeladzi. Powiedzieliśmy o tem co się nam słusznem a poczciwem zdawało. Avis au lecteur! — Obok tych „Kolców“ warszawskich na bruku naszym wystrzelić wkrótce mają „Kwiaty“ — jako podarek od „Tygodnika Wielkopolskiego“ dla pięknych a tak licznych jego czytelniczek...

Będzie to... chciałbym nie psuć niespodzianki — ale cóż — jestem zanadto szczery... będzie to arsenał mód, wzorów — rysunków — przepisów toalety dla skonfederowanego wojska wdzięcznych Wielkopolanek!... Czy prędko? Cierpliwości, cierpliwości!... Widziałem już pierwiosnek z tego bukietu! Podarek ten zdaje mi się dobrze wybranym i mam nadzieję że będzie dobrze przyjęty, choć nic jest tak wspaniały, jak złożona w ofierze od cześcicieli „Wandy“ Deotymie księga i świecznik złoty, ale nie każdy téż potrafi tak odpowiedzieć na dary jak ona: — improwizacją i miłosierdziem, w postaci pomocy niezamożnym studentom Warszawskiego Uniwersytetu...

* * *

Niebezpiecznie to dotknąć się choć mimochodem poezji i jéj przedstawicieli, — myśl mimowolnie się czepia słodkiéj i wdzięcznéj treści, jak teatr krakowski a wkrótce i poznański „Epidemii“ J. Narzymskiego, jak zapał publiczny nowego teatru jak, (zrobmy fiasco) Świerszcz idei napoleońskich, — tak myśl czepia się poezji i nasuwa mi do zapisania nazwisko potężnego talentu, wzrosłego wśród naszych pobratymców Czechów, p. V. Hálek, którego prześliczną próbkę w dzisiejszym numerze wam dajemy. (Pieśń XLI.) Poeta ten wyzwał niewymowny zapał w publicystyce całéj Słowiańszczyzny do utworów swoich z których jeden pod tytułem: Wieczorne Pieśni, u Kobera w Pradze się pokazały. W krótkim czasie wychodzi już trzecie wydanie. Słodycz i prostota niewymowna, — przy silnéj oryginalności — czynią każdą drobną piosneczkę w tym zbiorku maleńkiem arcydziełem. Zapewne nic nie słyszeliście o Vitezslavie Halku? Tak bywa z większością prac słowiańskich u nas. Nie wiemy co się dzieje — z naszą bracią — zapominamy, a widzi Bóg, na wstyd — bo tam o nas lepiéj pamiętają. Spodziewamy się, że ktoś przecie przyswoi literaturze narodowéj ten nowy skarb poezji czeskiéj.

* * *

Zaledwie zdążyliśmy rzucić te kilka linii na papier pod naciskiem — Saturna, który jak wiadomo jest symbolem czasu — i zecera, który jest niewątpliwie najnatrętniéjszym ze sług tego symbolu! Zecer to miecz Damoklesowy wiszący nad drżącą kronikarza głową, z któréj myśli, jak szeregi ultramontańskich wojowników — po bitwie poznańskiéj, rozpaczliwie zbierane — umykają w popłochu. Już cię widzę statuo komandora! Postępujesz wolnym a niewstrzymanym ruchem. Twoja dłoń wyciągnięta naprzód a usta szepcą ze sykiem „na prasę!“ Wstrzymaj się! Już kończę i głęboko wzdychając spoglądam za okno! Zapóźno na spacer! W.

Korespondencja ze Lwowa.

Lwów 9 Kwietnia.

Cieszymy się bardzo widzą u was coraz większy ruch umysłowy; wydajecie nowe pisma, skupiacie się, zawiązujecie w nowe stowarzyszenia, łączycie już istniejące, budujecie własnemi siłami, ofiarnością prywatną teatr i wiele, wiele dla nas dajecie pouczających przykładów. U nas niestety jest inaczéj, mamy swobody i moglibyśmy wiele robić ale niechcemy, nieumiemy. Wszystko się u nas nie wiedzie. Ruchu literackiego prawie niema, a jeżeli i wyjdzie jakieś dziełko to nikt o niem nie wie, nikt się tem niezajmuje. Z dwóch literackich pism Mrówki i Strzechy pierwsza przestaje wychodzić... Dziennikarstwo polityczne także kuleje, zawiesił już wydawnictwo Dziennik Lwowski, inne zaledwie dyszą. Z nowin tego rodzaju zanotować należy pierwszy numer Przyrodnika pisma które wychodzić będzie raz na kwartał; wydawcy więc bardzo nieśmiało sobie poczynają, ale może praktycznie. Lepiéj jest w homeopatycznéj dozie dawać coś publiczności jak nic niedawać. Wznowiono także wydawnictwo Rękodzielnika, którego również wyszedł numer pierwszy, jest to pisemko bardzo pożyteczne jakkolwiek nie może rościć najmniejszéj pretensyi do porównania go a Orędownikiem waszym. Rękodzielnik bowiem wychodzi tylko 2 razy na miesiąc i pod względem redakcji jest zastosowany do poziomu rozwoju umysłowego u nas w tych klasach, dla których jest przeznaznaczony. Za to wybujała u nas humorystyka Mamy Djabła, Szczutka, Chochlika i przybywa nowe pismo Coś. To ostatnie dziwnie mało kosztuje bo 1 złr. (7½ srgr.) na trzy kwartały t. j. do końca roku, a rokuje być dobrem gdyż kierownictwo jego objął Wł. Sabowski (Wołody Skiba) niepospolity humorysta i powieściopisarz którego powieść drukujecie.

Jak pod względem dziennikarskim potrafiliście nas wyprzedzić, tak i pod innemi względami daliśmy się wam ubiedz. Zawiązujemy bardzo wiele towarzystw i większa część takowych nie jest bez znaczenia dla kraju; wszakże gdy wasze towarzystwa pracują, nasze tylko bawią się. Wszystkie nasze towarzystwa przemysłowe w całym kraju, towarzystwami Gwiazdy i to-

warzystwami **M r ó w k i** zwane manifestują się ciągle zimą urządzaniem balów, koncertów, przedstawień amatorskich itd. a latem majówkami. Inaczéj być nie może. Poziom wykształcenia klas pracujących u nas jest opłakany, obyczajowość nawet pożałowania godna. Pierwszą czynnością towarzystw jest skupienie żywiołów rozpierzchłych nie dla pracy ale dla podniesienia moralności, obyczajowości. Więc nie może tu być mowy o niczem więcéj tylko o zabawach. Powoli jednak w towarzystwach zaczynają urządzać odczyty i zakładać czytelnie i biblioteki. Największe stowarzyszenie w tym rodzaju jest Lwowska G w i a z d a licząca już 800 członków i rozwijająca się bardzo pomyślnie. Stowarzyszenie posiadu bibliotekę liczącą przeszło 1000 tomów, wprawdzie ani jednéj książki jeszcze stowarzyszenie nie kupiło, a tylko uzbierało tę biblioteczkę. W ogóle stowarzyszenia nasze, które naśladują we wszystkiem Lwowską G w i a z d ę przyjęły za zasadę niekupować książek ale do takowych przychodzić drogą, zdaniem naszem niewłaściwą, drogą żebraniny...

Gdy w ten sposób poczyna się powoli ruszać młodzież rzemieślnicza, nic zupełnie się nierobi dla ludu, nikt się jego losem nie zajmuje, a zacny K o n s t a n t y n o w i c z sam tylko pracuje ucząc dorosłych według swéj metody czytania, ale napotyka na tak wielkie trudności, że będzie zmuszony albo umrzeć z głodu, albo co prędzéj wyjeżdżać z Galicyi!... Metoda jego ma tę korzystną stronę iż bardzo szybko, bo w trzydziestu godzinach naucza każdego bez różnicy płci, wieku i pochodzenia (nawet nierozumiejących po polsku) czytać i pisać. I lud nasz gorliwie się bierze do nauki! Cóż kiedy stawiane są wszelkie przeszkody, a pomocnikom Konstantynowicza wytaczają procesa i skazują na kary pieniężne za to że uczą; — tak skazano włościanina w Czernikowie pod Krakowem na grzywny — a nie ma komu się ująć bo sprawa ta nikogo nieobchodzi. Rada Szkolna nawet niepozwala Konstantynowiczowi odbyć próby z dziećmi z obawy przekonania się że metoda jego i dla dzieci zarówno pożyteczną może się okazać. I obawa ta Rady Szkolnéj jest zupełnie słuszną, gdyż Konstantynowicz zanim począł uczyć dorosłych pierwotnie uczył w Warszawie dziatwę. W Galicyi zaś niepozwolono mu uczyć dzieci tylko dorosłych. Sprawa ta cała ma tę niekorzystną stronę iż Konstantynowicz jest człowiekiem niezamożnym i nie umie kamieni na chleb przemieniać i z tego powodu zagrożony jest chyba... śmiercią głodową.

Na zakończenie dzisiejszego mego listu wspomnę o zamknięciu odczytów przez znanego historyka naszego, Henryka S c h m i t t a, których miał ich 12 o powstaniu 1830 i 31 r. a na które publiczność lwowska bardzo nielicznie się zgromadzała, a młodzież nieuczęszczała wcale! Dziennikarstwo nasze coraz energiczniéj występuje przeciw młodzieży i nawołuje ją do pracy, ale to nic niepomaga bo nasza młodzież nic nie czyta... Przeciwnie młodzież żeńska bardzo licznie uczęszczała na odczyty dla niéj urządzane, a po znanéj rewolucyi w téj sprawie liczba słuchaczek jeszcze się podniosła. Szczególną na siebie zwracały uwagę odczyty pani D o b i e s z e w s k i é j i prawdziwie piękne odczyty panny W a s i l e w s k i é j o trójcy wieszczów polskich, — Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim. Pani Dobieszewskiéj zawdzięczać należy tak pomyślny zwrot w téj sprawie, jako i wydobycia z ukrycia potężnego talentu profesorskiego, znanéj autorki „Historyi literatury polskiéj.“ Dalszym skutkiem odczytów będzie zawiązania się K l u b u P a n i e n we Lwowie, w celu wzajemnego kształcenia się. **K. S.**

Słówko o teatrze, znaczeniu tegoż i o moralności scenicznej.

(Dalszy ciąg).

Masa ludzi, którzy nigdy nic nie czytają, którzy niezdolni są myśleć i zastanawiać się nad duchowemi zagadkami życia, bywają przecież w teatrze. Tam oni idąc dla zabawy, spotykają się mimo wiedzy ze sztuką, z pięknem, słyszą ideje wygłaszane wzniosłym językiem, widzą walkę złego z dobrem i przesąd, głupotę, śmieszność wyśmianą. Z tego wszystkiego coś pewno zostaje, i to poruszanie stron duchowych od czasu do czasu niemoże być bez wpływu na ogół.

Prawda, że gdzie książka dojdzie, tam teatr jest nieznany, ale panuje on właśnie w miastach, to jest w ogniskach cywilizacji, w kuźnicach idei, w tych centrach, które bądź co bądź przodują całemu narodowi i niejako ton mu nadają.

Bez przesady więc powiedzieć można, że scena, że teatr, jest dziś jednym z najpotężniejszych środków propagandy, że dzięki okolicznościom ogólnym, kolejom, ruchowi, podnoszeniu się miast, zresztą realistycznemu kierunkowi epoki, odpychającéj liryzm, żądającéj plastycznych obrazów życia, dzięki tym i wielu innym jeszcze warunkom, znaczenie jego ciągle potężniejszem będzie.

Tak jest. Pisarz dramatyczny powinien czuć cały ogrom odpowiedzialności, jaką nań wkładają korzyści jego stanowiska. Wszystko się zbiega by podnieść brzęk jego słowa, by myśl jego oblec w ciało, by ją otoczyć czarem wszystkich sztuk naraz. Biada mu, jeżeli zmarnuje lub na złe użyje tych skarbów wszystkich. Niepowinien on ani na chwilę zapominać, że naród go słucha, że słowo jego odbija się w serc tysiącach, że jego ideje mogą być ziarnem pysznych kwiatów, lub nikczemnego zielska. Dramaturg dzisiéj jest nietylko artystą i sztukmistrzem, — jest myślicielem, moralistą, propagatorem, agitatorem. W zakresie jego leży prawie wszystko. Ostrzegać przed zgubnemi prądami, prześladować przesądy, siec i chłostać wszystko co podłe i nikczemne, ideałami wieść w sfery szlachetniejsze, postaciami bohaterów budzić odwagę gasnącą i wyszlachetniać dusze, podnosić kwestje społeczne, których kodeks nieobejmuje, słowem kuć uparcie tę drogę postępu, jaką ludzkość idzie, „pchać bryłę silnemi ramiony“ oto wielkie zaszczytne zadanie dramaturga, podzielane przez niego z tysiącami pracowników na innych drogach, ale do spełnienia którego, on ma od wielu więcéj środków i pole obszerniejsze.

Oto, zdaniem mojem, znaczenie dzisiejsze teatru, oto posłannictwo dramaturgów.

Naturalnie że im wyższe stanowisko, im większy wpływ, tem i trudności większe. Niewolno być dramatycznemu pisarzowi t y l k o sztukmistrzem, ale najświetniejsza tendencja, najgienialniejsze czy najszlachetniejsze ideje, nie uwalniają go od tego, by był artystą w całym tego słowa znaczeniu. To już pierwsza trudność, ale nie ostatnia i nie największa.

Niedosyć napisać sztukę artystycznie dobrą, tendencją szlachetną, trzeba jeszcze, żeby zajęła słuchaczy, żeby ich zainteresowała, żeby się p o d o b a ł a słowem, nie zniżając się przecież do fałszywych często gustów publiki.

Tu właśnie leży ów p i e r r e d' e c h o p o m e n t, o który się rozbijają często młode talenta.

Trudniéj to, jak się zdaje, odgadnąć prądy panujące, pogodzić artystyczne pojęcia piękna z wymogami chwili. Zdolność ta stanowi osobny talent, któremu n. p. niektórzy francuzcy dramatyczni pisarze zawdzięczają swoje powodzenie. Jedyna na to ogólna recepta: studjować życie, chwytać kwestje palące choćby z ich zniknięciem i sztuka miała stracić wartość swoją, brać typy własne, z życia wzięte, a nie szukać ich w książkach lub własnéj fantazji.

Trudności te wielkie same przez się, zwiększają się u nas brakiem rozsądnéj krytyki lub szczególnemi jéj wymaganiami.

Ileż to razy naprzykład spotykamy pioruny przeciw francuzkim komedjom za ich niemoralność. Romans mężatki, wprowadzenie upadłéj kobiety, lada wyrażenie niezupełnie purystowskie, nadają sztuce cechę niemoralności w oczach panów krytyków.

Tymczasem jest to błąd tém zgubniejszy, że wiąże ręce autorom i krępuje ich w ciasnem kole konwenansu. Czy niewierność małżeńska istnieje na świecie? Czy są kobiety upadłe? Czy są w życiu sceny drażliwe i dwuznaczne?

Oczywiście że tak, tego mi niezaprzeczą panowie moralni, a więc mogą, a więc powinny być i na scenie, bo dramat jest obrazem życia.

Co więcéj, te właśnie kwestje n leżą do tych, które podnosić, wyjaśniać, oczyszczać z przesądów, jest rzeczą pisarzy dramatu.

Twierdzenie to, które wyglądać może zwłaszcza w Poznaniu na zuchwalstwo, potrzebuje wyjaśnienia.

Literatura w ogóle, a dramat przedewszystkiem, jako czynnik cywilizacyjny i umoralniający, nie może się zajmować kwestjami które kodeks rozstrzygnął, przeciw którym nie ma opozycji. Dla tego też procesa kryminalne, choć często dramatyczne, wzbudzają na scenie tylko wstręt i niesmak.

Ale są inne kwestje, inne zbrodnie, których kodeks nie karze, o których sąd opinji jest mylny, srogi lub niesprawiedliwy.

Do takich należy n. p. surowość z jaką opinja sądzi niewierną żonę, mając dla niewiernego męża tylko powinszowania i pełne zazdrości uśmiechy; do takich także wzgarda, którą społeczeństwo okrywa upadłe istoty, obok pobłażliwości dla uwodzicieli i zaniedbania z jakiem traktowane jest wychowanie kobiet. Żadna logika, żadne poczucie sprawiedliwości niezdolne wytłomaczyć tych nierówności, tych skutków brutalnéj przewagi mężczyzny, a jednak fakt istnieje na wstyd czasów naszych.

Cóż prostszego, cóż naturalniejszego jak to, że pisarze Francji gdzie w obec rozbicia rodziny i zepsucia, choroba ta jest widoczniejszą jak u nas, podnieśli ją i przed sąd sprawiedliwości publicznego sumienia oddali?

Feuillet w *Pokusach* i w *Julii* dał obrazy walk jakie kobieta przechodzi nim padnie i pokazał jak często nawet dobry mąż do przepaści popchnąć ją może, jak brak taktu, serca, rozumu stają się przyczyną nieszczęścia. Winna jest tu ukaraną, ale widz jéj przebacza a potępia prawdziwego winowajcę.

Inny pisarz, Al. Dumas syn, podniósł drugą kwestję i w *Pojęciach pani Aubray*, tak jak niegdyś Victor Hugo w *Marji Delorme* z kobiety upadłéj zrobił bohaterkę, pokazał że niezawsze jawnogrzesznica nawet zasługuje na potępienie, i że to społeczeństwo które tysiące dziewcząt zostawia bez opieki, bez religji bez chleba, a otacza je wszystkiemi pokusami, niema' prawa być zbytecznie surowem względem ofiar własnéj niezdarności, niema prawa zamykać im drogi poprawy i cnoty. Podnosząc to, młody Dumas był nietylko moralnym, nietylko szlachetnym, ale prawdziwym chrześcijaninem. Myślą która natchnęła *Pojęcia p. Aubray* były owe najpiękniejsze słowa jakie wyrzeczono na ziemi kiedykolwiek: „Kto z was bez winy, niech rzuci na nią kamieniem.“

Obie te kwestje są palące, na czasie, ważne i sprawiedliwe. Na dziesięć wypadków wiarołomstwa, dziewięć razy mąż winien. Na sto upadłych kobiet dziewięćdziesiąt dziewięć razy winowajcą jest społeczeństwo lub jego wykształceni reprezentanci. Surowość dla kobiet, pobłażliwość dla mężczyzn, będąc z jednéj strony demoralizującą niesprawiedliwością, pogarsza jeszcze złe. Gdyby uwodziciele byli równie surowo sądzeni, jak ich ofiary, ofiar tych byłoby mniéj daleko; gdyby im zostawiono drogę poprawy i rehabilitacji, wiele z nich wróciłoby ze złéj drogi wcześnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Dwie gwiazdki.

Z czeskiego poety

V. Halek.

Raz były boże myśli dwie,
Dwie gwiazdki obok siebie;
Najwięcéj też kochały się,
Ze wszystkich gwiazd na niebie!

Wtém, z niebios jedna padła z nich!
A drugą ćmiły bole...
Aż Pan Bog się zlitował ich,
Jednę im dając dolę.

Błąkały się przez długie dnie
Od zmroku aż do rana:
Aż znów w postaci zeszły się,
Dziewicy i młodziana.

I gdy ich wzrok na siebie padł,
Poznały się wnet obie,
I żyły błogo wiele lat, —
Aż jedna legła w grobie...

A gdy umarła, — siostrę swą,
Wzywała wciąż do siebie...
Aż dobry Bóg powołał ją,
I obie świecą w niebie!

Wł. Bełza.

Wycieczka do Żabikowa.

Obok światła — cień.

Powiadają, że ciekawość — to pierwszy stopień do piekła. Ja na nieszczęście jestem ciekawy, arcy-ciekawy, co zdaje się grozić mi wielkiem nieszczęściem — na szczęście moje jednak dopiero po najdłuższém życiu co jest nie małą dla mnie pociechą.

Skutkiem to téj wrodzonéj mi ciekawości nie mo-

głem sobie odwówić przyjemności skorzystać z dawniéjszych już zaprosin Dr. Au'a i pojechać w równie ciekawém jak ja towarzystwie do Żabikowa, by oglądać naszą Halinę, naszą szkołę rolniczą, jedną z błogich nadziei naszéj przyszłości.

Droga do tego zakładu wiedzie przez wildowską bramę, którą zaledwie przejechaliśmy, kiedy mi wpadł w oczy wielki gmach w jakimś stylu nowogotyckim, ponury, ciężki, a zapewne i drogi. Dawno to, jak nie byłem w owéj stronie, nie dziw zatém, że zapomniałem jak daleko do Żabikowa, a widząc nowy, niedokończony jeszcze gmach, sądziłem, że to nasza nowa szkoła rolnicza, zakład, z którego choć jedna z dróg naszych ma się rozjaśnić, rozweselić.

Już się zacząłem smucić na myśl, że w tym ciemnym, pysznym gmachu ma się pomieścić dziecko nowego ducha, instytut nowych tendencyi i dążności, płód swiatła i źródło światła; już się zasępiłem widząc mur, otaczający wielką przestrzeń ziemi, a przypominający mi mur chiński, mający po części tamować przypływ światła do niebieskiego państwa, lub też więzienie w którém jednocześnie i ciało i duch marnieją i ostatecznie podług prawa atawizmu, do pierwotnych, grubych form wracają, — kiedy jeden z towarzyszów podróży uspokoił mnie mówiąc, że to nie jest zakład światła, zakład za którego wzniesieniem tęskniliśmy tyle czasu lecz niespodzianka, jeden z podarunków — jezuitów!

....

Pogrążony w myślach zaledwie spostrzegłem, jak dojechałem do Haliny. Jaka różnica widoku! Instytut, którego zadaniem jest przyczynić się do podniesienia światła, który ma się przyczynić do dobrobytu narodu, do osiągnienia materjalnych, a raczéj rzeczywistych rezultatów, mieści się w domu mniej niż skromnym, ciasnym i niewygodnym, kiedy instytut z wprost przeciwnym zadaniom założony, rozpościerać się będzie w gmachu, który więcéj będzie kosztował, niżeli cała wieś i folwark Żabikowski razem wzięte. Na doprawdy nie można jeszcze wiedzieć, który z tych dwóch zakładów kiedyś będzie monumentem naszego wieku, a raczéj stopnia naszéj obecnéj oświaty.

W niedalekiéj może przyszłości Poznańskie przez wzrost lub upadek jednego z tych dwóch zakładów, złoży swój — examen maturitatis.

Wewnętrzne urządzenie Szkoły Rolniczéj imienia Haliny, do której wstęp każdemu jest ułatwiony, co świadczy o tem, że się sądu publiczności nie boi, przedstawia obraz porządku w najdrobniejszych nawet rzeczach. Audytorjum, czytelnia, sypialne pokoje elewów, nawet kuchnia i śpiżarnia są czyste, wesołe, powabne i wabiące do siebie, choć wszystkie te części zakładu o tem świadczą, że on jeszcze jest młody i — niedosyć ocenione korzyści, jakie by krajowi mógł przynosić, gdyby był wyposażony, jak inne podobne zakłady zagraniczne i z prawdziwą miłością pielęgnowany a nawet pieszczony. Niechcę ja tém robić wyrzutu obywatelom, jakoby nie dbali o instytut tyle upragniony i tyle potrzebny; ale zwrócić muszę uwagę na ten przedmiot, wiedząc dobrze, że nie brak u nas gotowości do ofiar dla dobra ogólnego, jak sam widziałem, będąc raz świadkiem na walném zebraniu Tow. Rolniczego w Wągrówcu, gdzie zbierano nie podpisy, ale pieniądze na cel dobroczynny i użyteczny, a dwie te składki piękną sumkę przyniosły. Mam przekonanie, że ciż sami obywatele wągrowieckiego powiatu nie mniéj chętnie ofiarują swoją pomoc naszéj Halinie, i że całe Poznańskie nie poskąpi grosza dla zasilenia zakładu, którego przeznaczeniem jest wpłynąć na nasze stósunki najżywotniejsze, bo czysto materjalne, z któremi jest połączona nasza egzystencja majątkowa i narodowa. Tu leży węgielny kamień naszéj budowy społecznéj.

Hic Rhodus, hic salta.

Zaraz na początku niniejszego przyznałem się do ciekawości, któréj też w następstwie nowy dałem dowod.

W rozmowie z Dr. Au ani się spostrzegliśmy, że dziesiąta godzina wybiła, a ponieważ właśnie gawęda się toczyła o porządku dziennym elewów, którzy, jak ich Dyrektor twierdził, pracują prawie bez dozoru, pozostawieni pod strażą własnego sumienia i honoru, życzyłem przekonać się, czy też w tak spóźnionéj porze dnia uczniowie zakładu czemkolwiek się zajmują? Poszliśmy więc do domku, w którym mieści się zakład. Z dziewięciu uczniów — zastaliśmy w różnych salach ośmiu zajętych pracą; dziewiąty był chory. Tak zatém w zakładzie imienia Haliny młodzież nasza z własnéj woli, bez przymusu i dozoru oddaje się naukom, poświęca im nawet część nocy, by się uzdolnić dla życia, dla praktycznych ludzkości zadań.

Nietylko z klasztorem powstającym, w którym kiedyś w serca Polek mają się wpoić zasady zgubnego kosmopolityzmu, porównywałem instytut żabikowski, ale i z instytutem marymontskim, zniesionym w roku 1862 a raczéj przeniesionym do Puław. Ogromne fundusze przeznaczone przez rząd moskiewski dla instytutu rolniczo-leśnego, pod względem wyposażenia postawiły go na równi z pierwszemi tego rodzaju instytucjami Europy, a mimo to — żadnych nie przyniósł owoców. Był to instytut obliczony przez Muchanowa na zabicie ducha narodowego w młodzieży, a chociaż tego celu nie osiągnął, — co na chlubę téj młodzieży przyznać trzeba, — to jednakowoż żadnych praktycznych rezultatów nie miał dla kraju, a złote medale rozdawane rok rocznie uczniom celującym w rosyjskim języku i w religji, — w tych dwóch najważniejszych(?) dla kształcących się na agronomów i leśników przedmiotach, bez których swemu powołaniu odpowiadaćby nie mogli, — nie świadczyły jeszcze dostatecznie o postępach w tych nawet przedmiotach. Ze stu uczniów marymontskich zaledwie jeden stał się zdolnym rolnikiem lub leśnikiem, a i to tylko, kiedy ukończył swe wykształcenie w instytutach zagranicznych.

Żal tylko, że Wielopolski zniósł ten instytut nie dla tego, że kraj prawie żadnych z niego nie miał korzyści, ale że młodzież tamże nagromadzona, — mówię wyraźnie „nagromadzona“ a nie „kształcąca się“, — może zbyt gorąco przywiązała się do sprawy ruchu narodowego i zanadto wpływu miała na roboczą klasę w Warszawie. Gdyby nie ta była przyczyna przeniesienia instytutu, kraj nie miałby czego płakać nawet po jego zupełném zwinięciu.

To co widziałem w naszym zakładzie, imienia Haliny, rokuje zupełnie inne owoce, a chociaż wcale nie jestem zwolennikiem odrębnych instytutów agronomicznych, gdyż od nowoczesnego rolnika więcéj niż jednostronnego wykształcenia wymagać musimy, *) to jednakowoż na tém poprzestawać musimy i wszelkiemi siłami wspierać, dopóki nie mamy swego uniwersytetu w Poznaniu, gdzieby się młodzież wszechstronnie kształcić mogła, gdyż uniwersytet zawsze będzie posiadał inne środki naukowe, jakie mieć może zwyczajna szkoła rolnicza, chociażby jéj nauczyciele najlepiéj byli uzdolnieni.

„Więcéj światła! więcéj światła!“ — wołał umierający Goethe. Więcéj światła — i my wołamy. Czarna agitacya, która przy ostatnich wyborach została zdemaskowaną, choć pragnęła, aby jéj knowania pozosta-

*) Zasady moje pod tym względem jasno wyłożyłem w wstępie do mojego dzieła „Rolnik polski“ nakładem Dzwonkowskiego w Warszawie II tomy.

wały w tajemnicy, zmusza nas z całą energią, śledzić za nią, każdy jéj krok zbadać i rozważać, bo ona nic dobrego nie myśli. Ona po prostu chce nam wydrzeć ziemię, by oddać niebo; chce nas pozbawić tego co nam dotąd było najdroższém na świecie, by nam to zostawić, o czém każdy może swoje zdanie utworzyć, tak dobrze jak to czynią przywódzcy świątobliwego stada. Na to nam potrzeba wykształconych, światłych ludzi w każdéj gałęzi ludzkiéj wiedzy, którzyby łatwo pod jagnięcą skórą spostrzegli wilka, i którzyby śmiało z nim do walki wystąpili.

Dla tego to sądzę, że obywatele Poznańskiego wszystkich starań dokładać, wszelkie ofiary ponosić będą, by Halina nasza nie tylko nie upadła, ale prędko rozwinąć się mogła dla dobra ogółu.

Wracając do Poznania i widząc jeszcze raz ciemne mury klasztoru, sądziłem że nie od rzeczy będzie wołać na naszych szanownych ziomków: Videant cives ne quid detrimenti lux capiat! Starajcie się obywatele, aby ciemnota nie wzięła górę nad światłem! Nie dosyć uczyć prawdy, trzeba zburzyć ółtarze fałszu i ciemnoty.

Albin Kohn.

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Dalszy ciąg).

Wody wszystkie, co ztąd widzimy, płyną do Dunaju, a z nim do Czarnego morza. Jest to jedyny kąt Tatr, zkąd Waag zabiera dla siebie potoki, aby niemi zasilić Dunaj, bo zresztą naokół wszystko do Wisły spieszy korytem Dunajca i Popradu.

Prawie godzina czasu przeszła nam tu na Liliowém jakby minuta, niemiłosierny Sieczka naglił do pochodu, strasząc daleką jeszcze drogą. Nim ruszyliśmy, uczynił przewodnik próbę wytrwałości mojéj żony, czyli na widok przepaści nie podpada zawrotowi głowy; w takim bowiem razie nie mogłaby się puszczać na szczyt Świnnicy. Próba polega na tem, aby stojąc na wysokości wzrok wlepiony w niebo nagle spuścić na dół w dolinę; kto się wtedy nie potoczy, znak to, że zawrotu nie posiada. Próbę taką żona moja przeszła pomyślnie, reszta zaś naszego towarzystwa na innych już wycieczkach zdała popis uzdolnienia do drapania się na szczyty. Puściliśmy się w drogę naprzód na czub Skrajnéj Turni (6630'); nie było złego nic do przebycia, bo grzbiet połogi, trawiasty oprócz kawałka, gdy się ścieżką zwirową okrążało wierzchołek góry nad przepaścią od Stawów Gąsienicowych.

Stanęliśmy znowu na przełęczy łączącéj Skrajną z Pośrednią Turnią (6845'). Całe południowo-zachodnie zbocze Pośredniéj Turni od Wierchcichy zalegają złomy granitu, jakby gruzy zwalonego zamczyska, pośród takich zwalisk wyszukiwać sobie potrzeba miejsca do każdego z osobna stąpnięcia nogą; głazy różnéj wielkości i rozmaitego kształtu najdziwaczniéj rozrzucone niezmiernie tamują pochód. Szorstkiéj powłoce granitu zawdzięczać należy, że z uwagą krocząc od potłuczenia ustrzec się można, gdy po wapieniach ani największa nieraz ostrożność od szwanku nie ochroni. Słońce paliło nas niemiłosiernie, zasłony żadnéj ani wiatru nie było, pot kroplisty ściekał po twarzy, a góry jakby nie ubywało. Nareszcie dotarliśmy do saméj Świnnicy. Przełęcz dzieli ją od sąsiadki, a stąd znów pyszny widok na dolinę Stawów Gąsienicowych od północy i na liptowskie wierchy od zachodu i południa. Dotąd spotykaliśmy ślady stóp wczorajszych wędrowców z przewodnikiem Walą, daléj już nie było znać ich kroków, bo jak się późniéj dowiedzieliśmy, ztąd się zwrócili, nie zwiedziwszy szczytu Świnnicy, podobno z powodu nadejścia mgły. Usiedliśmy dla odpoczynku zamyślając obiadować; brakowało jeszcze pół godziny do południa, na szczyt mieliśmy półtoréj godziny drogi, więc nie godziło się przed osiągnieniem celu wypoczywać, tem bardziéj gdy pomimo piękněj pogody mogła, jako w górach, lada chwilę zjawić się chmurka i uczepić wierzchołka. Przytém czekała nas teraz dopiero właściwa przeprawa znać nie łatwa, skoro pomimo usiłowań do r. 1867 nie dało się na najwyższy szczyt Świnnicy drogi odnaleść.

Bystre, nagłe zbocze południowe Świnnicy również jak na Pośredniéj Turni zalegają głazy miejscami się obsuwające. Dążąc w górę pośród złomów granitu przy panującéj ciszy przewodnik nasz usłyszał lekki świst, zatrzymał nas, — po chwili znowu dał się słyszeć świst i zarazem zlatywanie kamieni. „To dzikie kozy“, szepnął Sieczka i rzeczywiście ujrzeliśmy na Walentkowéj Turni ze Świnnicy uciekającą gromadkę kozią. Było ich pięć, stanęły na wyniosłéj skale, rozpatrując się, zkąd grozi niebezpieczeństwo. Wówczas Sieczka rozeznał dwoje starych kóz i troje młodych koźląt, ale zaledwie zdołaliśmy się im przypatrzeć, czmychnęły w wielkim pędzie poza Walentkowe Turnie ku Kotelnicy. Niezmiernie nas to zjawisko cieszyło, w Tatrach nader rzadkie przed niedawnym czasem, nim zwierzęta te wzięto w opiekę przed drapieżnością strzelców, a tem samem ochroniono od wytępienia. Zanosiło się już na to. Komisja Fizjograficzna Tow. Nauk. Krak. różnych moralnych używała środków, aby od tępienia kozic powstrzymać strzelców wieśniaczych, bo inteligencją dworską z Zakopanego dopiero na sejmie uchwalone prawo, a przez cesarza zatwierdzone pohamowało w drapieżnych zapędach.

Postępując daléj wśród dzikich głazów przyszliśmy nad krawędź żlebu spadzistego, którego brzeg przeciwległy stromy, urwisty wydawał się niepodobnym do przebycia. Ten więc żleb zwracał każdego, zmuszając do zadowolenia się zwiedzaniem niższego szczytu Świnnicy.

Nazwa żlebu pochodząca od żłobu oznacza w górach skalisty, spadzisty zwykle parów, którędy toczy się woda po deszczu lub sączy się w miarę topienia śniegu. Do przebywania żleby są bardzo złe, bo woda zabiera za każdą razą wszystko, co w spokoju zostawione ułatwiaćby mogło pochód, a przytem progi wysokie często w żlebach napotykane ucinają wszelką możliwość dalszéj drogi. Otóż jeden z takich żlebów wprawdzie w samym jego początku przebyliśmy po usuwających się za lada stępnięciem kamieniach, co wcale miłego wrażenia nie sprawia, gdy spód jego ginie gdzieś niewidomie w przepaści. Krawędź, do któréjśmy dotarli, ostra, wysoka na kilkanaście stóp w jednem tylko miejscu pozwala wspinać się na wierzch przez wąską szczeliną. Przewodnik wskazał nam w skale zaklęśnięcia dla uczepienia się rękami i nogami, sam najprzód się tam wydostał, położył się na skale i każdemu z nas podawał ręce ku pomocy, radząc nie patrzeć w bok siebie na prawo, gdzie była przepaść. Rzeciwiście mała ta przeprawka wcale do łatwych się nie zalicza, zważywszy, że pod sobą mieliśmy najwięcéj trzy stopy kwadratowe powierzchni głazu poziomego, a poza nim właśnie opisany ów żleb przepaścisty. Tu przed wydostaniem się na grzbiet, wskutek porady

Sieczki pozostawiliśmy wszystko, co nam daléj niepotrzebnem było; wszelkie torby, kije, toporki przeleżały aż do naszego tędy powrotu.

Krawędź, raczéj wąski grzbiet zwany w górach granicą, co nam dotąd zasłaniała widnokrąg od południa, gdyśmy się na nią wdrapali, rozwinęła przed nami cudowne panorama, przedsmak tego, co nas czekało na szczycie Świnnicy. Dolina Pięciu Stawów, z których tylko dwa całe było ztąd widać i łańcuch najwyższych turni tatrzańskich czarujący, olbrzymi tworzyły widok. Nim się w nim rozpatrzeć mogliśmy, spostrzegłem kozicę bardzo blisko, bo zaledwie 50 lub 60 kroków od nas siedzącą na skale. Równocześnie i ona nas ujrzała, wstała, przypatrzyła się poważnie i popędziła całą siłą w przeciwną stroną w turnie Zawratu, a potem Granatu; łoskot kamieni strącanych przez nią dolatywał naszych uszu. Co to za chyżość a śmiałość tego zwierzęcia! Po przepaścistych urwiskach biegła jak po równem polu. Bywają podobno wypadki, że czasem chybi kozica w skoku, wtedy naturalnie ginie w przepaści bez życia. Sieczka poznał w widzianéj kozicy samca, a cieszyło go niewymownie, żeśmy goście mogli się przekonać naocznie o skuteczności jego zabiegów koło ochrony zwierząt. Sieczka bowiem i Wala, chociaż dawniéj należeli do najzaciętszych skryto-strzelców na dzikie kozy i świstaki, dziś mianowani przez Komisją Fizyograficzną Krakowską ich strażnikami, z największą gorliwością strzegą powierzonego im dobra.

Szczyt Świnnicy sterczał nad nami jak wieża, przestraszająco oddziaływując na umysł; jeszcze pół godziny zeszło, nim się go dobiliśmy po nader stroméj pochyłości ponad doliną Pięciu Stawów, pełzając na czworakach to po trawniku, to po głazach. Wierzchołek sam w kształcie korony z wystajacemi cyplami granitowemi, gdym się mu coraz bliżéj przypatrywał, stawał się zagadką, jakim tam sposobem człowiek wdrapać się może. Pod samym wierzchem pierwszy z mego towarzystwa stanąłem, zapytując Sieczkę, którędy daléj? On mi wskazał lekkie zwarcie skały, które za wschodki mi służyć miało. Czepiam się ściany, ale z pod nóg usuwa się głaz, nogi mi zadrżały; podwajam siły i po chwili oparłszy się łokciami do połowy ciała byłem już na szczycie, a resztą zawisłem prawie w powietrzu, gdy moja żona stanęła już na szczycie z przewodnikiem. Sieczka użył fortelu dla zrobienia jéj przyjemności, i aby mię uprzedzić, wskazał mi niewłaściwą drogę, będąc pewnym, że i tamtą na wierzch się wydostanę, gdy nieco daléj od południa znajduje się szczelina sposobniejsza do przebycia, którędy on powiódł moją żonę, a za nią i siostra moja na szczyt się dostała.

Minęła godzina pierwsza, gdyśmy u celu podróży spoczęli. Czas był śliczny, ciepło, wiatr nieznaczny, a naokoł widny świat wielki, olbrzymi, niczem niezasłoniony. Zaprawdę kto nie był nigdy na takim wyniosłym szczycie przenoszącym wszystko dokoła, ten nie może mieć pojęciu z opowiadania lub opisów, choćby najdokładniéjszych o wrażeniu, jakiego się tam wtedy doznaje. Człowiek z swemi dziełami maleje, rozmiary przyrody swą olbrzymiością przerażają, mimowoli duch korzy się, wielbi wszechmoc Stwórcy, natura ludzka bowiem im w większéj czuje się zależności od żywiołów zewnętrznych, tem mniéj ufa swojéj sile. Obawa o życie czy w okręcie na widok bałwanów morskich, czy na urwiskach skał na widok przepaści, a zwłaszcza w czasie burzy nakłania każdy umysł do oddawania się opiece Opatrzności. Myśli tego rodzaju nasuwają się każdéj wznioślejszéj duszy, skoro wyrwana z jednostajnego życia wzniesie się ciałem ponad poziom ziemi. Znam księdza Pl., wielbiciela pięknéj przyrody, który w Tatrach, gdy się wydostał na jakie wzniesienie, zkąd natura w całym majestacie się objawia, padał na kolana i śpiewał Te Deum.

Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, po nasyceniu chociaż w części wzroku, następuje czekawość, którą gasić muszą gościom przewodnicy odpowiedziami na tysiączne pytania. Wówczas najczęściéj kłamią góralscy cyceroni, nie chcąc psuć sobie raputacji wszechwiedzy, a rzadko znajdzie się między nimi tak szczery, skromny człowiek, by się przyznawał do nieświadomości. Postać swą góry zmieniają stosownie do miejsca, zkąd na nie patrzymy, lecz niektóre z nich mają wydatniejszy kształt, że je zewsząd łatwo rozróżnić wśród mnóstwa innych szczytów, jak n. p. w Tatrach Krywań, Ganek, Gierlach, Lodowy-Szczyt, Łomnica i t. d., które prędko można rozeznać, z dobrą zatem mapą stanąwszy na jakim szczycie podług pewnych danych da się rozpoznawać z przyjemnością góry, doliny, przełącze i t. d. Świnnica w tym względzie należy do najwdzięczniejszych szczytów, panując okolicy w znacznéj rozległości, nasuwa przed oczy takie bogactwo widoków, że trudno ich opisem nużyć czytelników.

Całe Tatry przed nami jak na dłoni, na zachód od Rohaczów począwszy, piętrzą się wierchy jedne nad drugiemi, wzdłuż południa schodząc ku wschodowi na Muraniu i Hawraniu. Od łagodnych grzbietów do najdzikszych turni wszystko się uwydatnia, zaledwie kilka tylko spiskich szczytów nie wydać, co się kryją za naprzód wystającemi wierchami. Za szeregiem szczytów ziemia Liptowska, a za nią w dali sinieje znowu pasmo gór Niżnich Tatr. Poniżéj naszych stóp doliny: Wierchcicha, Pięciu Stawów, Gąsienicowa i całe Podhala Nowotarskie, za niem Beskidy, Pieniny, lecz nie one ostatnie na horyzoncie, Kraków z swą ziemią aż po Częstochowę ginie w tle rozlegającéj się równiny Wisły.

Bujał wzrok po świecie, a tymczasem czas chyżo biegł, godzina nam na szczycie przemknęła jak jedna chwila; jeszcze najwięcéj pół godziny Sieczka pozwolił na pobyt na szczycie, bo czekało nas zejście z turni i daleki powrót do chaty. Głodnym jeść się nie chciało, a z resztą spokoju nie było, bo często na urwiska łatwiejszy wychód, niż zejście, więc schodzenia się obawialiśmy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W dalszym ciągu składek na konkurs dramatyczny, otrzymaliśmy przez p. Wł. B. z zebranych na ten cel pieniędzy w cukierni Sobeskiego 3 tal. 2½ sgr. Razem złożono dotąd w redakcji „Tygod. Wielk.“ 8 tal. 25 sgr.

Skrzynka do listów.

Pani E. Wilkxyckiéj w Wabczu, panu J. I. Kraszewskiemu w Dreżnie, X. Wr... w K... i Henrykowi Merzbachowi w Bruxelli, za okazaną życzliwość i łaskawą pamięć serdeczne składamy dzięki.

Hr. S... w Wap...: Wysłaliśmy powtórnie nr. 14ty naszego pisma, — pierwsza przesyłka widać zaginęła na poczcie.

P. Bart... we Lwowie: Odpowiedzieliśmy w osobnym liście; — zgadzamy się na podany nam projekt.

X. Cz... w Antwerpii: Nadesłane nam 3 franki jak najzupełniéj wystarczają na opłatę abonamentu, który na Belgją wynosi tylko 21½ sgr.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.